

*Baśnie i Legendy Północnej Jury*





*Baśnie i Legendy Północnej Jury*

pod redakcją  
Justyny Siemion



Złoty Potok 2012

Recenzent

*Piotr Orman*

*Magdalena Wojciechowska*

Projekt graficzny

*Alicja i Krzysztof Lampa*

Korekta i analiza językowa

*Sylvia Dziurkowska*

Skład i skanowanie

*Krzysztof Lampa*

Na okładce wykorzystano ilustrację

*Sary Hamerli* do bajki "Podanie o dwóch braciach"

© Copyright by "Linea", Złoty Potok 2007



Projekt "Partnerstwo Północnej Jury" jest w 100% finansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach projektu Programu Operacyjnego "Restrukturyzacji i modernizacji sektora żywnościowego oraz rozwój obszarów wiejskich 2004-2006", priorytet "Zrównoważony rozwój obszarów wiejskich", działania "Pilotażowy Program Leader+"



**Wydawca: Stowarzyszenie „Partnerstwo Północnej Jury”**  
ul. Kościuszki 7, Złoty Potok 42-253 Janów, tel.: 34 32 78 943,  
e-mail: [biuro@jura-ppj.pl](mailto:biuro@jura-ppj.pl); <http://www.jura-ppj.pl>

# Wstęp

Z ogromną przyjemnością oddajemy do rąk czytelników *Baśnie i Legendy Północnej Jury*. To pierwsza książka poświęcona baśniom i legendom zebranych oraz zilustrowanych przez dzieci i młodzież. Nowatorskie podejście do tejże publikacji jest owocem współpracy bibliotekarzy Bibliotek Publicznych ze szkołami oraz Stowarzyszeniem Partnerstwo Północnej Jury.

Obejmuje ona tematycznie obszar Stowarzyszenia gmin: Janów, Koziegłowy, Lelów, Mstów, Niegowa, Olsztyn, Poraj, Przyrów, Żarki.

Zróżnicowanie kulturalne tychże terenów owocuje różnorodną tematyką baśni i legend, które od niepamiętnych czasów krążyły w przekazach ustnych z pokolenia na pokolenie, budząc nierzadko strach przed nieznanym, fascynację i tajemniczość. Baśnie i legendy stanowiły nierozdzielną część życia codziennego naszych przodków, a długie jesienne i zimowe wieczory sprzyjały powstawaniu coraz to nowych i bardziej wspaniałych opowieści. Kanwą, na bazie której tworzono były niejednokrotnie prawdziwe wydarzenia, o których opowiadano, a czas na przestrzeni którego przekazy ustne wędrowały, spowodował, że rozbudowywano je o coraz to nowe wątki. W efekcie tym do naszych czasów dotrwało wiele baśni i legend, które są bardzo zawile w swej tematyce. Ale czas działał również na niekorzyść materiału, który młodzież i dzieci tak pieczołowicie gromadziły. Pamięć ludzka jak wiadomo jest zawodna, postęp nauki i techniki również nie sprzyjał dawnym przekazom. W niepamięć odeszły duchy i upiory, nieszczęśliwi kochankowie i bohaterscy obrońcy. Babcie zaprzestały opowiadania swoim wnukom historii, które zasłyszały w swych młodszych latach. Zdając sobie sprawę z tego, że wiele baśni i legend zostało zapomnianych na zawsze, pomysłodawcy tej książki rozpoczęli swoisty wyścig z czasem. Owoce pracy prezentują w tej małej, ale jakże ciekawej publikacji, która być może przyczyni się do zachowania w zbiorowej pamięci tych niezwykle istotnych dla lokalnej społeczności tradycji ludowych.

Tak więc niech do uszu czytelnika sączą się niezwykle opowieści o osobach i zdarzeniach, jakie dotrwały do naszych czasów. A my ze swojej strony zapraszamy do wzięcia udziału w tej niesamowitej podróży poprzez burzliwe dzieje bohaterów naszego zbioru. A jeśli kiedyś odwiedzicie Północną Jurę, zobaczcie te miejsca, które od wieków żyją swoją własną historią.

Justyna Siemion

## Legenda o powstaniu Janowa



Jesienne słoty roku 1684 mocno dawały się we znaki, gdy Jan książę Koniecpolski powracał z dalekiej Italii do rodzinnego Koniecpola. Zmęczony, ale wesół, bo przecież jeszcze kilka godzin, a zobaczy swój rodzinny dom; jeszcze dzień, dwa, a ujrzy wreszcie swą ukochaną Elżbietę. Był, więc Jan myślami znacznie bliżej Elżbiety niż rodzinnych progów. Orszak właśnie minął wieś Potok, a poprzez karczowiska zbliżył się do wsi Wola Ponicka, gdy dano znać Księżciu, że z naprzeciwka nadciąga inny orszak.

- Czyj to orszak?

- Pana Jana Myszkowskiego.

- Konia! - krzyknął Książę wysiadając z powozu, a chcąc jak najszybciej powitać swojego wiernego przyjaciela Myszkowskiego.

Sam Książę Jan kilkakrotnie już korzystał z cennych rad doświadczonego, dwakroć starszego Jana.

- Byłem ja Wasza Wysokość w Koniecpolu, ałem dowiedział się, żeś w podróży i nie wiadomo kiedy powrócisz.

- Ależ Przyjacielu miły, zapraszam, proszę! Mam nadzieję, że zabawisz Pan w mej gościnie kilka niedziel. Będzie, więc okazja pogwarzyć.

W Koniecpolu czekała na Księcia smutna wieść. Oto za wolą rodzica przyrzeczoną mu Elżbietę oddano do zakonu. Poskarżył się rozżalony Jan druhowi swemu, który i na to strapienie radę znalazł.

- A mało to w historii było przykładów porwania ukochanej? Gdy porwanie udane to i rodzic pogodzić się musi, bo taki obyczaj. Tym bardziej, że oboje radzi sobie jesteście okrutnie.

- W którym to klasztorze osadzona została?

- Doniesiono mi, że u Norbertanek w Krakowie.

- Norbertanki mają swój monastyr nad brzegiem Wisły, niedaleko Bielan. Weź, że Wasza Wysokość, garść ludzi i kilka armat i ruszaj. Dla większego splendoru, pomimo że dłużej, rzeką płyn. Z rzeki wypal kilka razy z armat, a siostry same dziewczkę wyprowadzą. Potem, co prędzej do ołtarza prowadź. Po prawie to, bo przyrzeczoną Ci jest. Teraz już czekać do wiosny musisz, bo mróz wkrótce skuje lodem rzeki, ale na wiosnę nie wahaj się. Ja zaś z serca w tej ekspedycji sekundować Ci będę. Na razie jednak zamysł niech tajnym zostanie.

Zamyślił się Książę, gdyż rada Przyjaciela po sercu mu była, a i rozumną się zdawała. Myszkowski wkrótce odjechał, a Jan do wyprawy przygotowania rozpoczął. Gdy tylko lody ruszyły Książę wyprawę powziął, zamiast wykonał i lubą odzyskał. Stateczki wodą odesławszy, sami konno wracać postanowili. Wracali przepelnieni szczęściem i miłością.

Zatrzymawszy się na popas na skraju karczowiska, zaraz za wsią Potok, Książę wspomniał na szczęsne spotkanie z Myszkowskim w tym miejscu. Zwracając się więc do Elżbiety rzekł:

- To w tym miejscu, gdym z Italii wracał spotkałem Jana Myszkowskiego, który radę dla ratunku Ciebie i naszego szczęścia obmyślił. Dlatego dzisiaj jeszcze postanawiam, że na tym karczowisku miasteczko ma stanąć. A ponieważ spotkało się tu dwóch przyjaciół, dwóch Janów, miasteczko Janowem nazwane będzie. A że spotkanie to przyczyną naszego szczęścia jest, niech herbem Janowa będzie mój herb, w którym podkowa widnieje.

- I niech mieszkańcy Janowa zawsze będą szczęśliwi, jako my teraz - wyszeptała Elżbieta.

Wkrótce powstało miasteczko Janów, którego herbem po dziś dzień jest Pobóg, mający w niebieskim polu podkową ramionami skierowaną w dół, zwieńczoną złotym krzyżem.



Eliza Nowak  
lat 13, Janów

Agata Musiał lat 10, SP Lusławice

## O pijackiej łące księżowskiej w Żurawiu



**W** gminie Janów, w Żurawiu, na skrzyżowaniu dróg wiodących z Piasku i Lipnika do Mokrzesy, w pobliżu kościoła parafialnego św. Bartłomieja Apostoła, naprzeciwko stawu znajduje się łąka księdza dobrodziejca. Obecnie dzierzawiona jest przez rolnika. Miejscowi nazywają ją “pijacką łąką”, “pijusem”, “pijakiem” albo “pijokim”.


Starzy ludzie powiadają... A wiedzą to od swoich ojców, a ich ojcowie od swych dziadów, że w tym miejscu znajdowała się onegdaj karczma. Należała ona z dawien dawna do klasztoru kanoników regularnych laterańskich w Mstowie. Położona była w bardzo dobrym miejscu i dlatego zawsze zatrzymywało się tu wielu podróżnych.

I rzeczywiście można tak rzec, patrząc na ową łąkę. Wszystko wskazuje na to, że tak mogło być. Zajmuje dość dużą powierzchnię, a co najważniejsze tuż przy drodze, na górcie, jest wyrównany płaski teren.

Ponoć karczma kryta była gontem i usytuowana na planie prostokąta. Posiadała podsienia z przyjazdem do “stanu”, czyli stajni i wozowni. Wewnątrz budynku mieściły się pomieszczenia: alkierz z izbą karczemną, komora i sień, z której wchodziło się do izb gościnnych. Na gumnie, czyli podwórku stała stodoła, stogi z sianem i słomą, obora, kurnik i chlewik z gnojownikiem. Zewsząd z budynków gospodarczych oberży słychać było tętniące życie. A to parobcy młócili zboże w stodole, a to dokonywali obrządku koni przyjezdnych i zwierząt karczmarza, a to swarzyli się o coś... Często też wybuchały chichy i śmiechy. Wszędy słychać było rżenie, muczenie, beczenie, kwakanie i gdakanie.

Zewsząd gwar i wesołość panowała w owym zajeździe. Kiedy nie było w niej gości, to odbywały się tam wiejskie swaty, miały miejsce sądy, toczyły się narady, urządzano weseliska. Kapela przygrywała często. Granie skrzypiec, bassetli i bębna słychać było daleko, bo echo dobrze niosło po wodzie pobliskiego stawu i po oparach mgieł czy rannej rosy. Tańcom i śpiewom nie było końca. Okowita rozgrzewała umysły i ludzie zapominali o boskich przykazaniach. Nie było tam Boga, ponieważ grano w kości i karty, wyszydzano jeden drugiego, podczas sądów składano fałszywe świadectwa, dochodziło do okradania podróżnych, a siarczystem przekleństwom i złorzeczeniom nie było końca.





Najgorsze było to, że miejscowi chłopcy prosto z niedzielnego nabożeństwa kierowali swe kroki do karczmy. Zimą, by się ogrzać nie tylko w ciepło, ale i arakiem z herbatą czy mocniejszym trunkiem. Latem zapewne, by spotkać się z przyjaciółmi i omówić ważne gospodarskie sprawy. W każdym razie spotkania takie trwały do późnego wieczora, by potem można było w pijanym widzie legnąć pod stołem, czy wyspać się na ławie do rana, a nawet do południa. Zło jednak czaiło się nadal i bies czyhał na ludzi. Chłopcy zamiast na nabożeństwa zachodzili do oberży i tam spędzali cały dzień. Parobcy kradli ze stodoł gospodarzy zboże i zanosili do karczmy, by móc nacieszyć się tym, czego na co dzień nie mieli. Dziewczęta biegały tam, by mogły pokazać swoje nowe stroje i urodę.

Gospodarze coraz więcej czasu poświęcali pijaństwu, zabawie i swawoli. Zapominali o swych żonach i dzieciach. Zapominali o ziemi, którą mieli uprawiać. Szylnik dawał im "na kreskę", czyli jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, na kredyt. Zadłużenie trzeba było spłacić z naddatkiem. Gospodarze zaczęli okradać własne rodziny, aby oddać długi w karczmie. Gospodarstwa zaczęły z roku na rok podupadać, ubożeć, zaczęła wkradać się bieda. Na nic zdążyły prośby, groźby i modlitwy bogobojnych żon, matek i córek, by nastąpiła przemiana w sercach synów i ojców.

Uprosiły zatem księdza proboszcza, aby ten odprawił msze błagalne, ale to i tak nic nie dało, ponieważ czart opanował chłopskie dusze. Wiekowe matrony znalazły jednak sposób. Późnym popołudniem, po mszy, wyruszyły procesją z kościoła ze sztandarami i asystą pod karczmę. W tym orszaku były same kobiety, starcy i dzieci. Na niebie nie było ani jednej chmurki, promienie słońca przygasały już, a świergot ptaków zagłuszał hymn do Boga. Procesja zatrzymała się przed zajazdem. Śpiew ustał, ale z karczmy dochodził pijacki śpiew biesiadujących, kapela grała skocznie. Kobiety udały się po swoich mężów, by wyciągnąć ich z karczmy, ale ich wysiłki były daremne. Procesja wróciła do kościoła, a kobiety powróciły jeszcze pod karczmę i nakłaniały swych mężów do opamiętania i powrotu do domów. Na nic to się zdało. Zaczęły złorzeczyć, jedna z nich w bólu i rozpacz zakrzyknęła:

- Oby was ziemia pochłoneła na zawsze! By ta ziemia zawsze pragnęła wody tyle, ile my wylałyśmy łez!

Kobiety wróciły do domów, oczekiwały swych mężów. W nocy rozpetęła się straszna burza, błyskawice jedna za drugą przecinały niebo, grzmoty piorunów wstrząsały chatami, zerwał się silny wiatr, takiej burzy nie pamiętano. Nad ranem wszystko ucichło. Na próżno kobiety czekały na swych mężów. Rozeszła się po wsi wieść, że karczmy nie ma, zapadła się pod ziemię. Ludzie przybiegli. Karczmy nie było.

Od tego czasu, kiedy panuje susza, ludzie udają się do proboszcza, by skosił pokos z tej łąki. Po trzech dniach zazwyczaj zaczyna padać deszcz. Zrasza on pola dając urodzaj, ale na łące, gdzie była karczma, trawa tak pije wodę, że siano z pierwszego pokosu albo zgnije, albo nie ma większej wartości. Tak trwa od wieków do dnia dzisiejszego.

Arkadiusz Czesny lat 15, Żuraw



Laurie Kraaikamp, Żuraw



## Legenda o figurce św. Jana Nepomucena



**N**a Poniku stoi pewna figura poświęcona św. Janowi Nepomucenowi. Krąży o niej wiele legend, a najbardziej znana jest następująca. Wiele lat temu tereny te zamieszkiwał koniuszy Karola Ernesta Birona - Ignacy Żulikowski i jego żona Salomea - byli Żydami. Bardzo długo nie mogli doczekać się potomstwa, ponieważ każde z narodzonych dzieci umierało. Długo zastanawiali się, co zrobić i w końcu za namową ludzi postawili na placu figurkę św. Jana Nepomucena. Wybrali tego świętego ze względu na przekonanie, że właśnie on wyprosi dziecku łaski u Boga i dzięki jego wstawiennictwu dziecko pozostanie przy życiu. Figurka została obsadzona czterema lipami. Dziecko otrzymało imiona świętego i ku radości wszystkich przeżyło.

Figurka i jedna z czterech lip, którymi została obsadzona istnieje do dziś. Na cokole posążka widnieje data - 1815 r. Mimo dość wyraźnej historii nikt dokładnie nie wie, co przyczyniło się do budowy tej figurki.

Marcin Motłoch lat 7, Ponik



Natalia Kraaikamp, Żuraw

## O Krystynie II i jego wybrance



**P**odobno niemożliwe jest by miłość mogła zabić. Podobno takie historie zdarzają się tylko w bajkach. Podobno... Bo rzeczywistość niejednokrotnie potrafi być dużo bardziej zaskakująca niż jesteśmy to sobie w stanie wyobrazić... Jeśli chcecie, usiądźcie na chwilę i posłuchajcie mojej opowieści.

Działo się to wiele lat temu. Nie było wtedy na świecie was, ani nawet waszych dziadków. Tu, gdzie teraz siedzimy, rozpościerały się piękne łąki, zielone lasy, pełne łownej zwierzyny i dzikich stworzeń. Miłościwym władcą naszej Lgoty był wspaniały Krystyn II. Ludziom żyło się dobrze i dostatnio, nikomu niczego nie brakowało. Wszyscy kochali swojego władcę i żyli z nim w zgodzie. Jednakże zły los nie pozwolił, by sielanka trwała zbyt długo.



Pan nasz lubił przychodzić z wizytą do swojego ludu. Często bywał u chorych i pomagał biednym. Właśnie podczas jednej z takich odwiedzin zdarzyło się coś niezwykłego...

Rzecz działa się u Macieja, dobrego i dzielnego chłopca mieszkającego w niewielkiej chatce na skraju wsi. Krystyn wiedział, że jest on chory i niedomaga, więc zawitał do niego.

Grzecznie zapukał do drzwi i nasłuchiwał odpowiedzi. Zaczął nawet się już niepokoić, że być może stało się coś złego. Wtem drzwi otworzyła mu piękna, młoda dziewczyna. Policzki miała rumiane, biodra krągłe, a blond włosy splecione czerwoną kokardą luźno spadały na ramiona obleczone różową suknią. W Krystyna jakby grom uderzył. Czuł, że serce wędruje mu w stronę żołądka. Zapomniał, jak się nazywa i po co przyszedł. Nie wiedział kim jest ta dziewczyna precudnej urody, lecz zrozumiał, że tylko ona może zostać panią jego duszy. Było to dla niego uczucie całkiem obce, gdyż jak dotąd nie należał do ludzi kochliwych. Dlatego też nie wiedział, co ma czynić. Stał i tylko patrzył na piękność przed nim. Panna zapytała go:

- Po co przybyłeś Panie? Czym możemy ci służyć?

Młodzieniec nie umiał odpowiedzieć na to, zdawać by się mogło, łatwe pytanie. Odwrócił się jedynie na pięcie i ruszył w stronę karczmy. Zamówił piwo i zapadł w głęboki sen. W nocy miał bardzo dziwną marę. Otóż nawiedził go zmarły dziadek, przestrzegając przed złym losem. Krystyn wyśmiał go, gdyż sądził, że nie może mu się stać nic złego. „O nie! Na pewno nie teraz, gdy wreszcie spotkałem swą miłość” - pomyślał. Ach! Gdyby wiedział, jak bardzo się mylił...



Sen ten nappełnił go jednak dziwnym niepokojem, dlatego postanowił więc zwierzyć się swojemu przyjacielowi i popędził do niego co sił w nogach. Drzwi otworzyła mu służąca kłaniając się nisko. Śpiesznie zaprowadziła go do swego pana. Krystyn zaczął wylewnie zwierzać się ze swych obaw. Opowiedział o ślicznej dziewczynie i o swoim uczuciu do niej. Wyjawiał również, gdzie owa piękna nieznajoma mieszka. Nagle usłyszeli czyjś przytłumiony kaszel. Odślonili kotarę i zobaczyli służkę. Szybko ją wygnali i kontynuowali rozmowę. Niestety, nie zauważyli, że kobieta ta pracowała niegdyś w domostwie Krystyna, lecz ten zwolnił ją za niewypełnienie obowiązków. Teraz postanowiła się za to zemścić. Pognała do wszystkich ludzi w wiosce i opowiedziała im, co usłyszała. Oczywiście dołożyła też kilka szczegółów od siebie...Zaczęła krzyczeć, że Marysieńka (bo tak okazała się mieć na imię wybranka Krystyna) jest brzemienna. Wieści szybko rozeszły się po wsi i dotarły do chaty Macieja.

Panicz postanowił wybrać się na przechadzkę po Lgocie. Nogi same zaniósły go w stronę chaty Marysieńki, lecz Niestety nie zastał jej już tam. Dowiedział się od ludzi, że załamana udała się w stronę Warty. Pełen złych przeczuć pognał co sił za ukochaną. Zastał ją siedzącą na drzewie nad rzeką, gotową do skoku. Nie wiedział, co ma czynić, krzyknął więc tylko w jej stronę:

- O ukochana! Cóż czynisz? Dlaczego to robisz?

- Jak to, Panie? Toż nie wiesz, co ludzie rozpowiadają? Mówią, że brzemienna i że zrobiłam to tylko po to, aby wreszcie stać się bogatą i zapewnić pozycję mojej rodzinie!!! A więc żegnaj wspaniały i wspominaj mnie dobrze!!!

To powiedziawszy rzuciła się do Warty. „No tak! Zapomniałem, że jest tylko wieśniaczką, córką kmiecia...Żeniąc się z nią, popełniłbym megalomanię, a nasze rody zostałyby przeklęte!!!”

- pomyślał Krystyn i zmówił cichą modlitwę nad duszą zmarłej.

Niestety, nie był w stanie dłużej znieść mieszkania w Lgocie, gdyż wszystko przypominało mu Marysieńkę. Postanowił więc, jak najszybciej sprzedać wioskę. Na szczęście Wojciech zechciał zamienić się z Krystynem na sołectwo w Koclinie. Panicz przeniósł się więc tam śpiesznie, a niegodziwa służąca została pokarana dziwną chorobą, odpadł jej język. Podobno duch młodej dziewczyny po dziś dzień błądzi nocami w nadwarciańskich lasach i poszukuje ukochanego.

Marta Szustak, Koziegłowy

## Marzenie Lela



**D**awno temu, w pewnym grodzie żył król. Był to bardzo potężny i mądry władca. Miał dwóch synów; Gomowita i Lelowita zwanego Lelem. Obaj byli bardzo posłuszni swojemu ojcu. Starszy Gomowit był chciwy i zarozumiały. Nie liczył się dla niego dobro innych, jego jedynym celem w życiu było objęcie władzy królewskiej po ojcu. Gomowit robił zatem wszystko, aby mu się przypodobać i aby to jemu oddać w posiadanie całe królestwo. Młodszy syn Lelowit był całkowitym przeciwieństwem Gomowita. Wesoły, uczynny i pracowity młodzieniec miał bardzo dobre serce. Troszczył się o poddanych swojego ojca. Jednak przykro mu było, gdy patrzył, jak ciężko pracują. Codziennie przynosił im jedzenie i picie, aby zaspokoili głód. „Muszę coś z tym zrobić pomyślał w końcu jestem synem króla!” Udał się więc do swego ojca i zapytał:

- Ojcze, dlaczego niektórzy tak ciężko pracują, podczas gdy inni nic nie robią, tylko wydają rozkazy? Król roześmiał się, gdyż wiedział, że Lel mówiąc o ludziach, którzy nic nie robią i wydają rozkazy, miał na myśli jego.

- Drogi Lelu - oznajmił - nie wszystko jest takie proste, jak ci się wydaje. Muszą być ludzie, którzy wydają rozkazy i którzy je wykonują. Gdybym tylko mógł, rozkazałbym wszystkim na moim dworze przestać pracować, ale nie mogę tego zrobić, gdyż wtedy nasze królestwo by upadło, chłopcy straciliby pracę i dach nad głową.

Rozmowie króla i Lela przysłuchiwał się Gomowit, który lekceważąco dodał:

- Czym się martwisz? Ciesz się, że to nie ty musisz tak ciężko pracować, a ojcu nie zwracaj głowy takimi bzdurami!

- W moim królestwie wszyscy będą równi! Nikt nie będzie wykonywał czyichś rozkazów! - oznajmił z powagą Lel.

- Cha! Cha! - kpiąco zaśmiał się Gomowit, który nie wierzył w zapewnienia brata.

- Synu! - wtrącił król, jeśli tak postanowiłeś, to dąż do tego i czyn wszystko, aby tak się stało.

Władca doskonale wiedział, że plany Lela są nierealne, ale nie chciał, aby jego syn tracił wiarę w siebie, więc umocnił go w tym postanowieniu.

- Tak zrobię, ojcze! - z dumą oznajmił Lel.

Nadszedł wieczór. Lel rozmyślał nad swoim postanowieniem i doszedł do wniosku, że musi opuścić królestwo. Następnego dnia o świcie Lel wyruszył w świat ze swoją misją stworzenia królestwa, w którym wszyscy będą równi.

Zmęczony długą wędrówką Lel zatrzymał się nad źródłem, aby ugasić pragnienie. Napił się wody i spoczął pod wysokim dębem. Po chwili odpoczynku wyruszył w dalszą drogę. W końcu dotarł do pewnego miasteczka. Tam spotkał rodzinę stojącą pod murem kaplicy i zbierającą jałmużnę. Lelowit rozmawiał z nimi przez jakiś czas i okazało się, że zostali wygnani z pewnego dworu i teraz nie mają się gdzie podziać. Bez zastanowienia się Lel oddał im wszystkie oszczędności, jakie miał i powiedział: - Chodźcie ze mną do miejsca, gdzie będziecie szczęśliwi! - zaproponował. Bez wahania podążyli za nim.

Marzenie Lela spełniło się, założył osadę, w której nie było władcy, ani poddanych, każdy robił to, co najlepiej potrafił. Rozwijało się rzemiosło i handel. Życie płynęło ludziom beztrudnie. Na cześć jej założyciela Lelowita mieszkańcy osadę tę nazwali Lelowem.

Anna Stecz, Gimnazjum w Lelowie



Anna Stecz 8 lat, Lelów

## Młyn Lelistryja



**W** dawnych czasach ludzie wędrowali w poszukiwaniu dogodnego miejsca do osiedlenia się. Chcieli, aby ziemia, na której zamieszkają była żyzna i nadawała się do uprawy. Pewna grupa ludzi, wędrując już dłuższy czas, znalazła miejsce, w którym stał młyn i kilka zabudowań. Ziemia ta, leżała między Kamionką a Zbyczycami. Stan chat i małego młyna wskazywał, że nikt od dawna tutaj nie mieszkał. Ludzie postanowili rozdzielić obszar tak, by każdemu przypadł kawałek ziemi. Młyn przydzielono Lelistryjowi człowiekowi, który zajmował się tą pracą wcześniej.

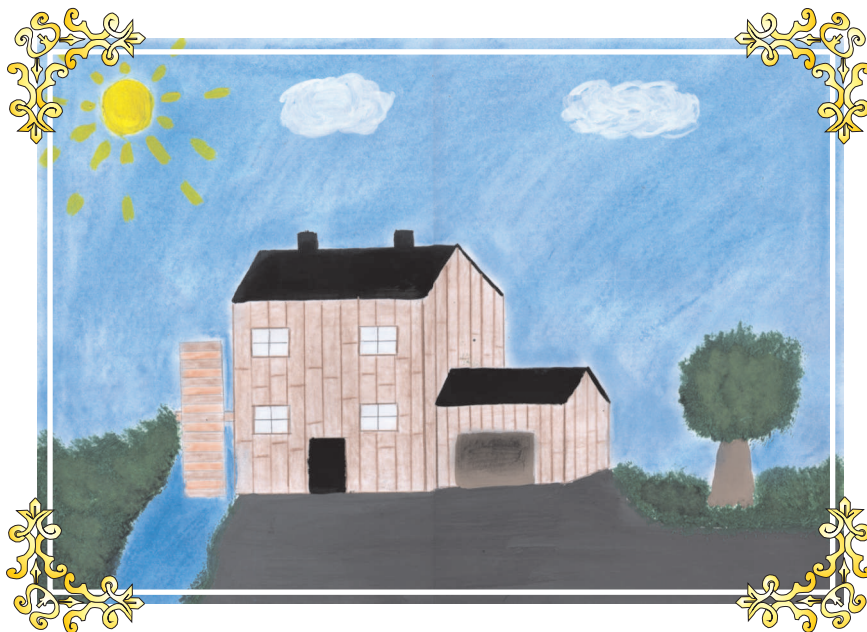
Po kilku miesiącach mieszkańcy postanowili nadać osadzie nazwę. Długo nie mogli jej wymyślić. W końcu uznali, że nazwa musi się wiązać z jakąś rzeczą charakterystyczną dla osady. Ponieważ nadal nie mieli żadnego pomysłu, więc postanowili z tym poczekać. Ludziom dobrze się mieszało na nowej ziemi. Pierwsze plony były obfite i świetnie nadawały się do pieczenia chleba. Ludzie wiedzieli, że Lelistryj wkłada całe serce w pracę w swoim młynie i za to go podziwiali. Wszystko szło dobrze, aż do czasu, gdy jedno z kół młyńskich uległo zniszczeniu. Mąki w osadzie zaczęło brakować, bo młyn stał nieczynny, a nikt w okolicy nie zajmował się ich naprawą. Głód coraz bardziej doskwierał ludziom. Lelistryj ubolewał z tego powodu, ale nie mógł im pomóc. Czuł się winny z powodu zaistniałej sytuacji. Postanowił szukać pomocy u Boga. Cały swój czas poświęcał modlitwie w intencji rozwiązania problemu z młynem i końcem głodu. Ludzie bardzo odczuwali brak chleba, co było powodem rosnącej paniki i strachu o dalszy los swoich rodzin. Lelistryj był świadkiem tej sytuacji, ale sam nie martwił się o swoją rodzinę, bo jej nie miał. Młynarz powoli zaczął wątpić w sens swojej modlitwy. Uznał, że jego prośby nie zostały wysłuchane i przestał się modlić.

Pewnej nocy Lelistryj obudził się i nie mógł zasnąć, bo coś ciągnęło go do młyna. Postanowił wstać i to sprawdzić. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczył, że w workach zamiast ziarna jest mąka. Zrozumiał, że to dar od Boga. Nie zastanawiając się długo, postanowił obudzić mieszkańców. Osadnicy z wielkim podziwem przyglądali się temu cudowi. Rankiem ludzie przyszli po odbiór mąki. Lelistryj cieszył się, że może rozdawać mąkę, która na pewien czas zaspokoi głód mieszkańców. Wiedział, że to nie koniec problemu, ponieważ mąki wystarczy na miesiąc, a młyn nadal był nieczynny. Lelistryj zastanawiał się całymi dniami, kto mógłby naprawić młyn.



Pewnego dnia w osadzie pojawił się mężczyzna. Był bardzo zmęczony i szukał noclegu. Lelistryj ugościł go najlepiej, jak potrafił. Podczas rozmowy wspomniał o zepsutym młynie. Akurat los sprawił, że mężczyzna znalazł się na żarnach i w geście podziękowania zaproponował naprawę młyna. Po kilku dniach młyn znowu zaczął pracować tak jak dawniej. Ludzie byli bardzo wdzięczni Lelistryjowi za jego zaangażowanie w sprawę dotyczącą uniknięcia śmierci głodowej mieszkańców. W ramach podziękowania postanowili nazwać swoją osadę od imienia młynarza Lelistryja - Lelów.

Justyna Nocuń, Renata Staszowska,  
Gimnazjum w Lelowie



Anna Klimas, Lelów

## Dlaczego Biała Wielka?



Działo się to za czasów króla Kazimierza Wielkiego. Gdy tylko kogut zapał w małej, zapomnianej przez Boga wiosce, jej mieszkańcy budzili się ze snu. Od wczesnego świtu kobiety krzątały się przy obrządki, a mężczyźni żwawym krokiem szli w pole i siekli zboże. Gdy kobiety skończyły swą pracę, dziewczęta zasiadły przy krosnach i kołowrotkach, a ich matki dołączały do swych mężów w polach. Razem zbierali zboże, wiązali je w snopki i układali w mendle.

W południe wszyscy zasiadali w cieniu okolicznych drzew i posilali się wcześniej przygotowaną strawą. Tylko jedna osoba opuszczała grono pracujących. Był to młody człowiek, który budował dom na obrzeżach wsi. Budowa dopiero co się rozpoczęła, lecz szybko postępowała naprzód. Piwnice były już gotowe, teraz robiono podmurówkę. Do tego celu potrzebne były śnieżnobiałe kamienie, które obficie występowały w tej okolicy. Ludność pobliskiego miasta Lelowa nazywała tę wioskę Białą, od koloru tutejszych złóż kamieni. Mieszkańcy tej miejscowości również przywykli do tej nazwy i tak już zostało.

Życie mieszkańców Białej było miłe i spokojne. Pewnego dnia podczas prac polowych jakiś staruszek zaczął wpatrywać się w powiewające na wietrze majestatyczne sztandary. Przyglądał się białym lwom wyhaftowanym na czerwonym tle.

- Czesi - rzekł, jakby sam do siebie.

Nie miał wątpliwości. To oni. Czesi kroczyli w ich stronę. Starzec tak się zapatrzył w nadciągające szeregi, że nie zauważył, iż tylko on i dwaj jego synowie zostali w szczerym polu, wpatrując się w nadchodzące wojsko. Gdy tylko ocknęli się z osłupienia, czym prędzej czmychnęli do wsi za innymi.

Czeskie wojsko zatrzymało się nieopodal Białej. Rozbijanie obozu zajęło im zadziwiająco mało czasu. Już wieczorem żołnierze zbici w grupki wkroczyli do wsi i wymuszali od chłopów wino, zboże i bydło. Nie brakowało takich, którzy wdawali się w bójki z miejscowymi rzeźmieszkami. Okazało się, że chłopcy byli przygotowani na ich nadejście. Od dawna bowiem dochodziły do nich pogłoski o nadciągającym wojsku z królem Janem na czele. Zdążyli zebrać większą część plonów i sprzedać sporo bydła, a złoto, które za nie dostali, pozwalało przeżyć zimę.

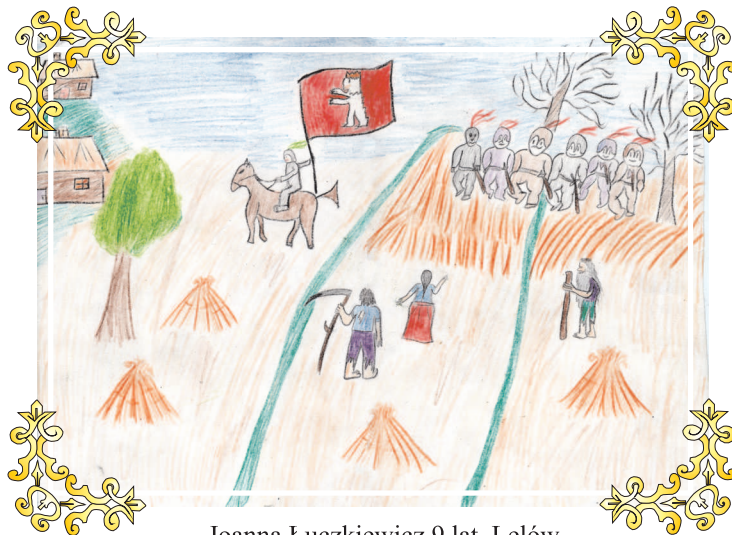
Król Kazimierz Wielki dowiedziawszy się o poczynaniach Czechów na terenie jego państwa, wysłał wojsko polskie do Lelowa. Wyznaczono termin bitwy. Obaj władcy wraz ze swoimi żołnierzami stawili się na miejscu.

Na znak dany przez przywódców wojska ruszyły do ataku z ogłuszającymi wrzaskami radości i żądzy krwi. Miażdżąca przewaga Czechów nic nie znaczyła wobec waleczności Polaków. Starcie trwało wiele godzin. Polacy coraz bardziej posuwali się naprzód. Nagle zabrzmiały czeskie trąby wołające do odwrotu. Wrogowie uciekali w popłochu. Polacy zwyciężyli. Było to trudne, a jednocześnie radosne zwycięstwo.

Od tamtej pory wszyscy mieszkańcy tych okolic zaczęli opowiadać wędrownym kupcom o dwóch wielkich armiach, które stoczyły bój na białych polach. Niektórzy chwalili się łupami, które przy okazji zdobyli, a inni chcieli sprzedać naiwnym ludziom fiolkę prochów walecznych żołnierzy, którzy zginęli w bitwie. Byli nawet tacy, którzy mówili, że mają paznokieć króla czeskiego Jana, który odpadł mu w trakcie boju. Z ust do ust opowieść o tych wydarzeniach rozchodziła się po całym kraju. I chcąc nie chcąc wielka bitwa stoczona w tym miejscu dodała do nazwy wsi Biała drugi człon Wielka.

Mimo, że od tamtych wydarzeń minęło wiele lat i mało kto pamięta o tej legendzie, wieś Biała Wielka nadal tętni rolniczym życiem. Chociaż pamięć o wspomnianych wydarzeniach gdzieś się zatarła, one nadal żyją w sercach mieszkańców Białej Wielkiej.

Joanna Łuczkiwicz,  
Gimnazjum w Lelowie



Joanna Łuczkiwicz 9 lat, Lelów

## Legenda o kapliczce w Zawadzie



**D**awno, dawno temu jednego z mieszkańców Zawady opętały złe moce. Chorował, padały mu zwierzęta, zaraza niszczyła coroczne plony. Nie mógł doczekać się potomka. Gdy urodziło mu się dziecko - zachorowało i zmarło na nieuleczalną w tych czasach chorobę. Był załamany. Nie wiedział już, co ma robić.

Pewnego dnia do wioski zawitała wędrowna zielarka. Leczyła ona u ludzi różne choroby. Potrafiła także odczyniać uroki i uwalniać ludzi od złych mocy. Gospodarz długo zastanawiał się, czy zwrócić się do niej o pomoc. Bał się bowiem, że zdenerwuje Złego i sprowadzi ona na niego jeszcze większe nieszczęścia. Jednak za namową żony zdecydował się skorzystać z umiejętności wiedźmy. Przybył więc do bardzo starej, od dawna nie zamieszkiwanej chatki na uboczu wsi, gdzie zielarka znalazła swą chwilową siedzibę. Okadziła go ona ziołami oraz odprawiła przeróżne obrzędy, po czym oznajmiła, że w przyszłości jego przodkowie musieli uczynić coś bardzo złego i dlatego spotyka go tyle nieszczęść. Gospodarz nie wiedział, co ma zrobić, jak odpokutować zły uczynek. Wiedźma powiedziała, że jedynym sposobem, jakim odpędzi złe moce, jest wybudowanie kapliczki ku czci Matki Bożej. Zmartwił się on bardzo, ponieważ nie miał odłożonego grosza...

We wsi Zawada od wieków żyli sami życzliwi i uczynni ludzie. Tym razem również nie zawiedli i pomogli chłopu w potrzebie. Zaczęto zbierać pieniądze na materiały potrzebne do budowy. Nie było tego zbyt wiele, ponieważ mieszkańcy byli bardzo ubodzy... Zwrócili się więc o pomoc do bogatego dziedzica z Małus Wielkich i zawarli z nim pewien układ. Dziedzic ten urządzał polowania na dziką zwierzynę na zawadzkich ziemiach i płacił odszkodowania właścicielom gruntów. W ten sposób w przeciągu kilku lat została uzbierana wystarczająca kwota pieniędzy. Budowa wreszcie ruszyła. Wszystkie prace wykonywali życzliwi sąsiedzi dotkniętego klątwą gospodarza. Nie było łatwo, chłopci zmęczeni pracą w polu od świtu do zmierzchu, z trudem wznosili budowlę. Często pracowali przy blasku księżyca. Gospodynie dbały o to, aby robotnicy nie byli głodni. Dzieci wybierały odpowiednie kamienie na budowę - najpopularniejszy i najłatwiejszy do zdobycia budulec w tych okolicach. Do budowy użyto również cegły.

Kapliczka została postawiona w krótkim czasie. Ołtarzyk z obrazem Matki Bożej oraz dzwonek do kapliczki ofiarował bogaty właściciel dworku w Zawadzie. Dzwonek ten został przywieziony przez syna dziedzica z Rosji. Pewnego razu nad wieś nadciągnęła ogromna burza.

Pioruny były z ogromną siłą. W oddali widać było dym oraz płomień. Strach zapanował wśród mieszkańców. Kiedy kobiety modliły się w kapliczce, dzwonek sam zaczął dzwonić. Niespodziewanie burza minęła, wiatr ucichł. Od tej właśnie pory aż do dnia dzisiejszego mieszkańcy Zawady wierzą, że głos dzwonka w kapliczce odpędza burzę i inne nieszczęścia. Trud budowy nie poszedł na marne.

Od momentu poświęcenia kapliczki, gospodarzowi zaczęło się wreszcie powodzić. Urodził mu się syn, który wyrósł na dobrego człowieka, w polu zaczęło mu obradzać, zwierzęta dobrze się chowały. Obecnie o kapliczkę dbają prawie wszyscy mieszkańcy, odremontowano także ołtarzyk. Przynajmniej raz w roku w kapliczce odbywa się msza święta w intencji urodzaju oraz mieszkańców Zawady.

Sylwia Jędras,  
Gimnazjum im. A. Kubickiego w Mstowie



Dawid Całusiński 10 lat, SP w Mstowie

## Legenda o Skale Miłości



Zwróćmy kroki ku rzece, biegnącej w dal krętym korytem. Ujrzymy tu dziwny kaprys natury - skałę samotną, prostopadle sterczącą nad nurtami rzeki, którą fantazja ludu przyoblekła w szatę pięknej legendy.

Przed wielu laty w miejscowości tej sączył się strumyk ożywczo działającej wody, po którą chora matka posłała córkę. Gdy dziewczę czerpało do dzbanka wodę kryniczną, z gąszczów okrywających brzegi strumyka dały się słyszeć czyjeś kroki. Zależniona już miała uciekać, gdy w nadchodzącym poznała dawno niewidzianego kochanka, ku któremu, aż podskoczyła z radością - przywitaniom nie było końca.

Tymczasem w chacie chora matka na próżno oczekiwała córki; zaniepokojona wreszcie, czy co złego jej się nie stało, choć chorobą zwątlone siły odmawiały jej posłuszeństwa, znaną ścieżyną dowlokła się do źródła. Widok córki, która w objęciach kochanka zapomniała nawet o jej chorobie, taką zgrozą napenił serce staruszki, że na wyrodną rzuciła przekleństwo. Złączonych w pocałunku pokryła twarda skała. Na zimnie i słotach pokutują odtąd za jedną chwilę zapomnienia.



Dawid Puczyński 15 lat  
Gimnazjum  
A. Kubickiego w Mstowie

Paulina Całus 8 lat, SP w Mstowie

## Legenda o Wale



**W** zamierzonych czasach, tu na "Wale", zaczęto budować kościół. Kiedy już fundamenty były założone i mury ku niebu strzelać zaczęły, zły duch, piekielnik ognisty swymi raciami porzrzucał nocą wszystko do "imentu". Zawrzała robota od nowa. Następnej nocy "raciaty" fryga znowu wszystko zniweczył. Budowy ani widno. Tak było do trzeciego razu. Wtedy to domyślono się, iż miejsce obrane na świątynię nie jest miłe Bogu. Zbudowano zatem, ku Jego chwale kościół większy i ładniejszy, na wzgórzu wancerzowskim, gdzie stoi do dziś. W 1917 roku, w setną rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki, górę "Wał" /309 m n.p.m./ Nazwano Górą Trzeciego Maja. Na jej środku stoi po dzień dzisiejszy pamiątkowy krzyż z przetopionych moździerzy i halabard pozostałych z czasów potopu szwedzkiego.

Dawid Puczyński 15 lat,  
Gimnazjum A. Kubickiego w Mstowie



Maria Halaba 12 lat, SP w Mstowie

## Podanie o dwóch braciach



Jest wiele legend o Bobolicach i Mirowie. Jedną z nich jest podanie o dwóch braciach. Kiedyś, dawno temu, kiedy zamki w Mirowie i Bobolicach były jeszcze jednym, potężnym królestwem, mieszkało w nich dwóch braci. Byli oni tak podobni do siebie, że ludzie pana bobolickiego nie odróżniali go od pana mirowskiego. Bracia miłowali się wzajemnie i wielu ludzi mówiło, że nawet pół ziarnka dzielili na dwoje. Wspólnie jeździli na polowania, razem się bawili i ucztowali. Nawet skarby i łupy wojenne trzymali w jednym skarbcu, którego strzegła czarownica o czerwonych ślepiach.

Bracia żyliby we wspólnej miłości do siebie, gdyby nie posłaniec królewski wzywający pana z Bobolic na wyprawę wojenną na Ruś. Wielce zasmucił się rycerz z Mirowa dowiedziawszy się o wyjeździe brata, lecz obiecał mu czekać na niego tylko o chlebie i wodzie. Wraz z nim zasmuciła się cała służba i wszyscy ludzie w okolicy. Mijały dni i noce, a rycerz z Mirowa nie mógł doczekać się powrotu swego brata. Aż pewnego dnia niespodziewanie do bram mirowskiego zamku zapukał rycerz bobolicki wraz z wojennymi łupami, a co najważniejsze ze swą branką, piękną księżniczką. Na obydwu zamkach zapanowała wielka radość. Stało się jednak nieszczęście. Rycerz mirowski zakochał się w pięknej księżniczce od pierwszego wejrzenia, a na złość bratu ona odwzajemniała to uczucie. Kochankowie spotykali się potajemnie w skarbcu. Po ślubie księżniczki z rycerzem bobolickim, stosunki między braćmi bardzo się pogorszyły. Bracia coraz rzadziej widywali się, darząc się coraz większą nienawiścią. Pewnego dnia książę bobolicki dowiedział się o uczuciu, jakim księżniczka darzy jego brata, domyślił się również, że spotykają się potajemnie. Wymyślił podstęp. Żonie i bratu powiedział, że wyrusza na kilkumiesięczną wyprawę wojenną. Jednak po kilku dniach wrócił niespodziewanie i zastał kochanków w czułych objęciach. Nagle szał nienawiści ogarnął zdradzonego męża i jednym ciosem odciął głowę swemu bratu. Natomiast swą żonę kazał zamurować w lochu, gdzie wkrótce zmarła z głodu.

Od wieków krąży legenda, że na wieży bobolickiego zamku można zobaczyć białą damę, która zwrócona jest w stronę Mirowa. Jest to duch niewiernej żony, która nawet po śmierci tęskni za swoim ukochanym księciem z Mirowa.

Wiktoria Budzikur, Kamila Gradzik, gmina Niegowa



## o Tomaszu co założył Tomaszowice



**D**awno, dawno temu za czasów panowania Kazimierza Wielkiego lub jeszcze wcześniej, w całej Polsce zapanowała wyjątkowo mroźna i śnieżna zima. Na zamku w Mirowie brakowało jedzenia, a ludność okolicznych wsi nie miała, co jeść. Głodni mieszkańcy z utęsknieniem czekali na przyjście wiosny. A gdy wreszcie nadeszła okazało się, że w lasach brakuje zwierzyny, a drzewa owocowe nie wydają kwiatów. Książę ogłosił, że kto upoluje grubego zwierza i dostarczy go do zamku, tego sowiec wynagrodzi. Wielu chłopów próbowało dniem i nocą, ale nikomu nie udało się upolować większego zwierzęcia niż zając.

Pewnego dnia szczęście uśmiechnęło się do młodzieńca o imieniu Tomasz. Upolował on jelenia i zaniósł go do księcia. Ten, zgodnie z obietnicą, powiedział Tomaszowi, że da mu tyle ziemi, ile zdoła zaorać w jeden dzień i w jedną noc. Chłopak od razu zabrał się do pracy. Udało mu się zaorać spory kawałek ziemi, na którym się osiedlił i który na jego cześć nazwano Tomaszowicami. Z biegiem czasu ludzie zaczęli się osiedlać na tej ziemi, a nazwę wsi zmieniono na Tomiszowice.

Wiktoria Budzikur, Kamila Gradzik, gmina Niegowa



Malwina Gradek 12 lat, SP w Niegowie

## O dzwonku, który odwracał burzę



**K**apliczka, która obecnie stoi na posesji rodziny Lipowiczów w Sokolnikach, powstała w rok po upadku powstania styczniowego. Mieszkańcy Sokolnik zbudowali ją z kamieni i innych materiałów, które zbierali jadąc z targu w Lelowie. Materiały te pochodziły z klasztoru zburzonego podczas działań wojennych w 1863r. Wybudowano kapliczkę o wymiarach 2x3m, zwieńczoną kopułą wzorowaną na gotyku. W jej wieży znajdował się dzwonek św. Jana, przywieziony z Rzymu, poświęcony przez papieża.

Historia dzwonka w kapliczce wiąże się z losami pewnego mieszkańca Staromieścia, nazwiskiem Gałązka, który spalił przez zazdrość posesję swojego brata. Od płonących zabudowań zajęły się inne gospodarstwa, w wyniku czego pożar strawił większą część wsi. Za dokonanie powyższego czynu miejscowy proboszcz jak i Ordynariusz Biskupi nie mogli udzielić mu rozgrzeszenia. Po rozgrzeszenie musiał udać się do Ojca Świętego do Rzymu, jak nakazywało prawo kościelne. Grzechy zostały spisane po łacinie i opieczetowane pieczęcią parafialną. Podróż do Rzymu trwała 9 miesięcy i przeszedł ją o chlebie proszonym, gdyż nie mógł na nią zabrać żadnego prowiantu ani pieniędzy. Kiedy dotarł na miejsce spotkał się z Ojcem Świętym, który udzielił mu rozgrzeszenia, a na dowód tego otrzymał wspomniany dzwonek. Drogę powrotną pokonał dyliżansem, który opłacił mu Ojciec Święty.

Przywieziony dzwonek, dar od papieża, postanowiono umieścić w kapliczce w Sokolnikach. Dzwonkowi temu nadano moc odpustową, która chroniła od burzy i gradów oraz odwracała chmury, chroniąc w ten sposób wieś i mieszkańców.

Niestety dzwonek skradziono, ucierpiała również kapliczka, która została uszkodzona. W 1972r. ks. K.Opara, proboszcz Parafii w Sokolnikach dokonał gruntownego remontu kapliczki. Od momentu kradzieży dzwonka, kapliczka nie spełnia czynności, do których została przeznaczona przez Ojca Świętego.

Beata Lipowicz, Sokolniki



Marlena Budzikur, gmina Niegowa

## Biała Dama



**K**iedy burgrabią był Albrecht, zamek w Olsztynie miał być przebudowywany z drewnianego na kamienny. Młodzieniec będąc na Śląsku spotkał niezwyklej urody niewiastę, córkę jednego z tamtejszych książąt. Przypadli sobie do serca i Albrecht poprosił o rękę Wandy, bo tak miała na imię ukochana. Niedługo potem odbył się ślub i uczta weselna. Kiedy wybiła północ, Wanda poinformowała męża, że na chwilę opuszcza salę i niebawem wróci. Mijały godziny, a ukochanej Albrechta nie było. Zaniepokojony wyruszył na poszukiwania, lecz znalazł tylko wiszącą na kłamce tasiemkę. Rano w zamkowej kaplicy zabrzmiały dzwony oznaczające zaginięcie Wandy. Albrecht stał się ponury i zadumany.

Po blisko 30 latach, kiedy rozpoczęła się przebudowa zamku, jeden z budowniczych przez przypadek oparł się o kłamkę basztowej komnaty. I nagle zniknął. Pan Albrecht z robotnikami zszedł do komnaty i zobaczył tam szkielet Wandy, która idąc do swojego pokoju w dniu wesela, zahaczyła tasiemkami sukni o uchwyt komnaty. Chcąc je odczepić uruchomiła walec, który otworzył pod nią zapadnię. Załamany burgrabia wyjechał z zamku i ślad po nim zaginął. Odtąd, o północy na zamku ukazuje się zjawa w białej szacie, która szuka swego męża.

Agnieszka Kosińska, SP w Olsztynie



Agnieszka Kosińska, SP w Olsztynie

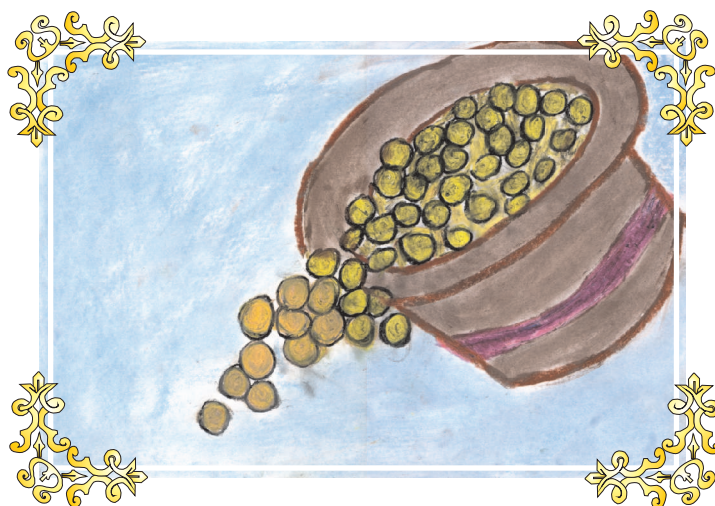
## Ułogi chłopiec



**W** pobliżu zamku olsztyńskiego chłopcy często pasali bydło. Wśród nich był jeden ubogi, któremu koledzy wrzucali czapkę do lochu. Chłopiec bojąc się kary po powrocie do domu bez czapki, wszedł po nią do jaskini.

Zobaczył tam czarnego psa pilnującego skarbów, który przemówił ludzkim głosem. Poprosił chłopca, aby wziął czapkę i napełnił ją złotem. Kiedy koledzy zobaczyli to, zaczęli nawzajem wrzucać sobie czapki do lochu, aby mieć pretekst i pójść po nie do tego tajemniczego miejsca. Żaden nie powrócił jednak na powierzchnię, a ich duchy błakają się po zamku do dziś.

Agnieszka Kosińska, SP w Olsztynie



Agnieszka Kosińska, SP w Olsztynie

## Beczki



**W** górze zamkowej znajdują się trzy beczki, w których ponoć są skarby. Na pierwszej siedzi pies, na drugiej kot, a na trzeciej kogut. Będą pilnować skarbów dopóki odważny młodzieniec nie wypowie prawidłowego hasła.

Agnieszka Kosińska, SP w Olsztynie



Agnieszka Kosińska, SP w Olsztynie

## Legenda o Poraju



**D**awno, dawno temu, w miejscu, gdzie istniał niegdyś biblijny raj, istnieje miejscowość o nazwie Poraj. Zaczniemy od początku, posłuchajcie sami... Żył niegdyś pan Męciński, do którego należały tereny położone nad rzeką Wartą. Był to człowiek głęboko religijny, a dla swoich poddanych zrobiłby wszystko, cenił sobie uczciwość. Po kilkunastu latach Męciński nie był tak sprawny jak niegdyś. Chciał już odpocząć od zajęć, które do tej pory robił. Miał jednak wielki dylemat: swoje dziedzictwo ziemie. Komu je przepisać? Kto najlepiej zająłby się jego majątkiem?

Męciński nie miał żadnego syna, a jedną, jedyną córkę. Jednak według panującego w tamtych czasach zwyczaju córka nie mogła dziedziczyć majątku rodziców, jeżeli byli jeszcze jacyś krewni o tym samym nazwisku i herbie, a tacy żyli. Męciński nie chciał przepisać swojego majątku krewniakom, ponieważ byli to ludzie źli i okrutni.

Dziedzic nie wiedząc co zrobić, codziennie prosił Boga o pomoc w tej kłopotliwej sytuacji. Pewnego dnia wybrał się Męciński na łowy do lasu, przez cały czas się modląc. Zagłębił się w modlitwie tak mocno, że zapomniał o całym świecie. Nagle stwierdził, że nie jest w lesie sam. Wówczas na tle drzew ujrzał brodatego zakonnika. Gdy zbliżył się do niego, podzielił się swym problemem. Zakonnik doradził mu mówiąc: „Założ w tym miejscu osadę, którą nazwiesz Poraj, tak jak nazywa się twój herb, a wtedy będzie to majątek rodzinny, który już będziesz mógł przekazać córce”.

Męciński postanowił zrobić tak, jak mu doradzono. Jednak zanim poszedł do domu z radosną nowiną, zapytał o imię brodatego zakonnika. Ten odpowiedział, że jest Wojciechem, a jego brat zwię się Poraj. A to właśnie ten Poraj zapoczątkował ród Męcińskich.

Dziedzic ucieszony założył osadę, która do dziś nazywa się ...Poraj. A kłopot z przekazaniem córce całego dziedzictwa...minął.

Karolina Pasek,  
Gimnazjum w Poraju



Sandra Florczyk 8 lat, SP Poraj



## Legenda o powstaniu nazwy "Choroń"



**W** bardzo dawnych czasach na terenie Choronia miało miejsce dziwne zdarzenie. Ubogi pastuszek Jaś, jak co dzień rano poszedł wypasać owce. Polana była duża i piękna. Jaś usiadł pod drzewem i sam, nie wiedząc kiedy, zasnął. Kiedy się obudził, był już wieczór. Przerażony spostrzegł, że nigdzie nie ma jego zwierząt. Przeszukał cały las, lecz owiec ani śladu. Nie wiedząc co robić, usiadł pod tym samym, co wcześniej drzewem. Z rozmyślań wytrącił go tupot koni. Przestraszony Jaś schował się w krzakach. Po chwili na polanę wjechała armia. Wódz tajemniczych rycerzy stanął i krzyknął: „Ho-Run!” Oznaczało to, że właśnie tu urządzi sobie odpoczynek. Pastuszek zauważył, iż kilku mężczyzn rozmawia z władcą. Ze strzępków rozmowy, które usłyszał, wywnioskował, że chcą zostać tu na stałe. Jeżeli mieszkańcy wsi pozwolą osiedlić się tutaj przybyszom, to gdzie będą wypasać zwierzęta i uprawiać rolę? W tej okolicy są najurodzajniejsze tereny. Nie zwlekając długo, chłopak wymknął się do domu zanieść wieści.

Następnego dnia wszyscy chłopci ruszyli przeciwko tajemniczemu wojsku. Trzeciego dnia bitwy nastąpił przełom: jakiś mężczyzna ugodził śmiertelnie wodza przeciwników. Ten zaś tuż przed śmiercią rzucił klątwę, według której wieś przez trzy wieki będzie zmagala się z epidemią cholery. Jednak zwycięzcy mieszkańcy Choronia nie przejęli się słowami umierającego człowieka.

Minęło wiele lat i nastał wiek jedenasty. Wieś rozwijała się i nikt już nie pamiętał o klątwie. Wtedy jak grom z jasnego nieba ludzi zaczęła dosięgać straszna zaraza - cholera. Wyniszczała organizm i po długich męczarniach doprowadzała do śmierci. Wśród ludzi zapanowało przerażenie.

Po ponad 200 latach trwania epidemii, w Choroni ni stąd ni zowąd pojawiła się nieznaną zielarką. Oznajmiła, iż na społeczeństwo spada klątwa, aby ją zatrzymać, trzeba wybudować kapliczkę poświęconą zmarłym w wyniku dawnej wojny. Ponadto należy chodzić do niej przez trzy dni trzy razy dziennie i modlić się do Boga za dusze nieżyjących rycerzy. Wszyscy mieszkańcy wsi wzięli się do pracy. W mgnieniu oka powstał mały drewniany kościółek. Tak jak mówiła staruszka, klątwa minęła. W tamtych czasach, każdy kto chciał, żeby jego plany i marzenia się spełniły, przychodził do kapliczki się modlić. Na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku na miejscu kapliczki powstał kościół, który stoi po dziś dzień. Inną pozostałością po epidemii cholery jest cmentarz, na którym grzebano zmarłych i oczywiście nazwa Choroń.

Katarzyna Kokoszczyk,  
Gimnazjum w Poraju



Sergiusz Mizera 11 lat, SP Poraj

## Legenda o powstaniu Choronia



Dawno, dawno temu, przez Choroń przebiegał szlak handlowy Kraków - Wieluń. Pewnego dnia wędrowała nim drużyna rycerska. Zbliżała się noc, wszyscy byli zmęczeni. Dowódca zawołał: „Ho-Run”, co znaczyło zatrzymać się. Miejsce było stworzone do odpoczynku: lasy, świergot ptaków, księżyc, miliony gwiazd i szumiące strumienie. Jednemu z członków wyprawy bardzo spodobało się to miejsce i postanowił tu pozostać. Zaciekała go historia Choronia. Chciał przeżywać wszystko to, co mieszkańcy wsi, jednym słowem pragnął tam pozostać.

W wieku XVII był zwyczaj polowania na niedźwiedzie. W lasach spotykali się zamożni mieszkańcy, którzy organizowali łowy na dzikie zwierzęta. W jednym z takich łowów brał udział nasz bohater. W trakcie heroicznej walki został ciężko raniony przez niedźwiedzia, jednak cudem uszedł z życiem. Wdzięczny Bogu za ocalenie wybudował kapliczkę, która z czasem stała się piękną świątynią. Do dziś dnia stoi na tym miejscu kościół.

Ludzie pragnęli wykształcenia, bo wiara była już niewystarczającym czynnikiem potrzebnym do życia. Niestety, mieszkańcy nie mogli pokryć kosztów budowy szkoły. Wójt i sołtys obiecali pomóc społeczeństwu, jednak oni także nie mieli pieniędzy. Zwrócili się więc do starosty będzińskiego. Ten trwał w przekonaniu, że rolnicy w dzień muszą pracować, a dzieci od najmłodszych lat mają być przyzwyczajane do ciężkiej pracy. Mieszkańcy robili wszystko, co było w ich mocy, by osiągnąć swój cel. Nasz tajemniczy bohater marzył o tym, by pomóc mieszkańcom. Postanowił podrobić podpis sołtysa, jednak to nie pomogło, gdyż starosta wykrył podstęp. O fałszerstwo oskarżył Franciszka Rajczyka - wójta i Piotra Potempskiego - sołtysa. Nałożył na nich grzywnę w postaci 2000 rubli. Na szczęście dla nich, prawda wyszła na jaw. Tajemniczy mężczyzna został aresztowany i skazany na karę więzienia. Dalsze jego losy są nam nieznane. Z czasem ludność dopięła swego i w Choroni zaczęła funkcjonować szkoła.

Mieszkańcy Choronia chcieli żyć w pięknej okolicy. Postanowili na jednym z pustych pól, posadzić drzewa. Nie mieli świadomości, jakiego gatunku są te drzewa. W miarę upływu czasu okazało się, że są to lipy. I tak powstała Aleja Lipowa. Czas upływał i nadeszły mroczne lata rozbiorów. W kapliczce świętych Floriana i Mikołaja, w środku wsi, ludzie składali swoje modlitwy. Właśnie one uratowały życie trzem powstańcom, którzy schowali się na strychu kapliczki, gdy wojska rosyjskie w 1831 r. opuszczały wieś. Przetrwali dzięki życzliwości mieszkańców. Szczęśliwie udało im się uciec.

Ważnym elementem historii Choronia był także tamtejszy dwór. Przed laty mieszkała tam rodzina Hachulskich. Niestety, popadli w długi i nie było ich stać na wykupienie zadłużonego majątku. Poprosili o pomoc swoich przyjaciół Dydyńskich. Oni mieli wykupić długi, a w zamian otrzymać prawa do własności kamienicy krakowskiej. Jednak czas płynął, a Hachulscy nadal nie mieli pieniędzy. W efekcie obydwie rodziny spotkały się w sali sądowej. Prawo do ziem chorońskich przyznano rodzinie Dydyńskich. Zrozpaczeni utratą własności, rzucili na następców klątwę - przeciwników miały w życiu spotkać same nieszczęścia. Słowa nie zostały rzucone na wiatr. Co noc, o północy dwór nawiedzał tajemniczy duch. Żona byłego gospodarza była strasznie załamana. Po egzekucji przez komornika właścicielka Hachulska przeszła na kolanach od dworu do końca Alei Lipowej, stawiając na jej końcu drewniany krzyż. Z czasem drewniany krzyż zastąpiono metalowym i tak powstał Krzyż Krzyży.

Po dziś dzień możemy zobaczyć chorońskiego ducha na wzgórzu, który pomaga ludziom potrzebującym pomocy.

Dominika Kolmaga, Gimnazjum w Poraju



Zofia i Wojciech Pustuł 10 lat, SP Poraj

## Legenda o Zalesicach





**H**istoria ta wydarzyła się w czasach zamierchłych i burzliwych. W czasach, kiedy na ziemiach polskich panował król miłościwy Jan III Sobieski herbu Janinia. Przez Turków został okrzyknięty Lwem Lechistanu, przez ludzi prawych - obrońcą chrześcijan.

Gdy tureckie wojsko liczne jak morze obległo Wiedeń, ruszył miłościwie nam panujący wraz z resztą zbrojnych z odsieczą do Austrii. Patrzył z nieba Bóg na odwagę zbrojnych, mądrość władcy, modlitwy ludzi i dał zwycięstwo walczącym przeciw tureckim wojskom. Wracał Sobieski z resztą rycerstwa i jeńcami Turkami do Warszawy. Droga była znojna, pogoda licha, wokół bory i bory. Szli dzielnie przez bagna całymi dniami, a zdarzyło się tak, iż znużony drogą król zarządził postój na bagnach w lesie. Wiedzieli zbrojni, że w okolicy chat niewiele było, bo i pobliska wieś Komorowo znajdowała się o godzinę marszu. Namawiali wodza na obóz tam dopiero, lecz on nieustępliwy kazał Turkom namioty stawiać pod sosnami i doły na kształt stawu kopać dla osuszenia terenu. Znalazło się wielu, co bunt i opór stawiali, jednak smagani i ponaglani przez rycerzy postaju nie psuli.

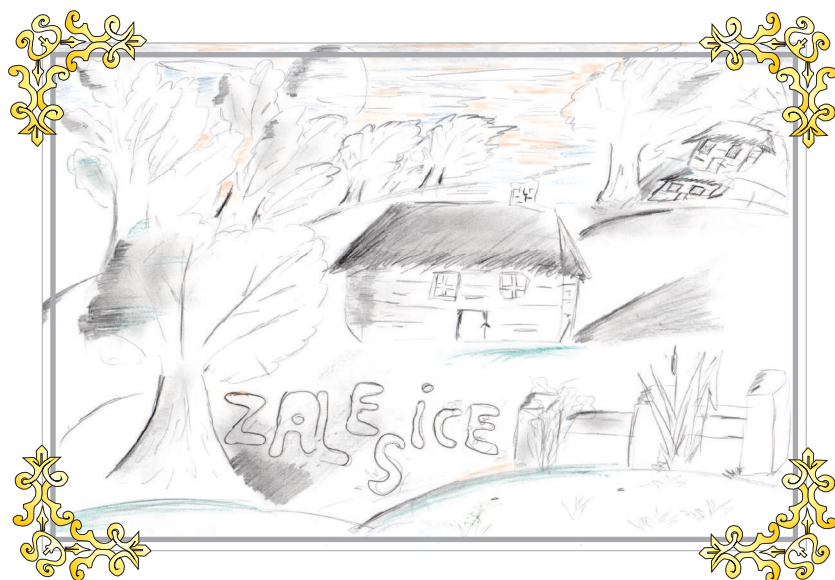
Wiadomo, że wszelkie licho po krzakach się chowa, tak i tu być musiało. Bies jakiś, co w lesie siedział, do ucha Turków szepnął, by bunt uradzili. Nocą, gdy rycerstwo i król pośpią się (co będzie wynikiem proszku, który Turcy do wody dosypią), okrutni zdrajcy króla zrzną. Z rana planowali rycerstwo polskie na swoją stronę przekupić, jako że król ranny i dowódcy im brak. Planowali do kraju swego tłumnie wśród chwały powrócić. Jak uradzili, tak i zrobili. Nocą, gdy się pospali zbrojni i król, wszyscy proszkiem czarodziejskim zmożeni, zakradli się Turcy do namiotu monarchy, by ranę śmiertelną mu zadać. Lecz mało wprawni w morderstwach wiedzieć nie mogli, że cios, który zadali, tylko króla poranił. Gdy to już wykonali szlachtę i rycerstwo ograbili. Z nastaniem jutrzienki pobudzili się panowie, lecz wróg ich już za gardło trzymał, a najstarszy ogłaszał orędzie jako ich władca nieżywy, a poddaństwo tureckie orzeka nad jego rycerzami.

Cóż mieli robić? Niemoc ogarnęła wszystkich, gdy patrzeli po sobie i musieli zgodzić się z wyrokiem. Lecz było między nimi kilku roztropnych, którzy przywódcę tureckiego uprosili, by im ciało monarchy wydał, bo zasłużył na godny w lesie pochówek. Turcy, choć naród dumny, to głupi, więc zgodę wydali za obietnicą, iż tamci na powrót do obozu wrócą. Wyprawili się więc szlachcice, by pana swego pochować, lecz zaledwie zdążyli w las się zagłębić, spostrzegli, iż król jeszcze oddycha, jest tylko ranny. Ich zdumienie i radość nie miały granic.

- 
- 
- Panowie! Szlachcice! - krzyknie jeden z rycerzy - Wracajmy, bo gdy tylko Turcy dowiedzą się, że król żyje, znajdą nas i zabiją!!!
- A gdzie szlachecka wierność? - odpowie im drugi - Kto chce, niech wraca, reszta zaś schronienia dla króla poszuka.
- Pięciu ze szlachty do obozu wróciło. Tamci zaś szli jeszcze kawał drogi przez las, aż zatrzymali się u drzwi ubogiej chaty. Staruszka im otwiera, a widząc rannego, prosi podróżnych do izby. Wypytywać zaczyna, kim są i dokąd podążają, a w końcu tak do nich rzecze:
- Tu niedaleko, mili przybysze, bije cudowna woda, co każdą ranę wyleczy. Ta woda to dla waszego kompana jedyny ratunek.
- Matuś, mówże, gdzie i jak jej zaczerpniemy, a pójdziemy co żywo, bo ten tutaj raniony to król z łaski Boga nam panujący.
- Nie tak szybko - babina odpowie - powiem ja wam, lecz wprzód słuchajcie. Wodę ze źródła pobrać może tylko panna pobożna, lecz która kocha i jest kochaną.
- Załamali ręce, popatrzyli po sobie.
- Kiedy my snadź panny takowej nie znamy. Gdzie jej szukać pośród tej głuszy?
- Mam ja córkę przepiękną, lecz tak jak ja ubogą. To niedaleko wieś jest chędogo Komorowo. Szlachcic tam wielki i pan nad pany syna swego chowa. Ów młodzieniec i córka moja kochają się bardzo, lecz długa droga do miłości. Jeżeli chcecie, córkę mą weźcie.
- Wrócili rycerze z dziewczyną wodę cudowną niosąc ze sobą. Tydzień nie minie, a król zdrowieje i pyta o wybawiciela. Rycerze mówią mu na to o łzach dziewczyny, o ubogiej staruszce i o miłości, co ze względu na posąg nigdy przed ołtarz nie dotrze. Namyślił się król, przywołał dziewczę, uklęknąć jej kazał i w te słowa mówić począł:
- Dziewczyno! Ja król panujący Jan III Sobieski w zamian za ocalenie życia tytuł szlachecki i ziemie za lasem oddaję tobie.

Tak baśń się plecie, sączy legenda, co szumi w koronach do dziś. Dzieweczka z posagiem za szlachcica wyszła, a wieś Zalesiem została. Dziś wskutek lat tak wielu słowa się zatarty i Zalesice pośród borów istnieją. A król panował jeszcze długo, ale to już inna opowieść.

Justyna Młyńczak 15 lat,  
Gimnazjum w Przyrowie



Justyna Młyńczak 15 lat

## Legenda o powstaniu rzeki Wiercicy



**N**a terenie dzisiejszego koryta rzeki Wiercicy przed wieloma tysiącami lat istniał zamek. Mieszkał w nim książę Edward i jego córka Celesyna. Lud uwielbiał swojego władcę, bo ten dbał o interesy najbiedniejszych. Celestynę za to cechowała niezwykła skrytość, rzadko wychodziła z komnaty. Dziewczynie nie brakowało pieniędzy, ale nigdy nie zaznała matczynej miłości, gdyż jej matka zmarła przy porodzie. Z żalu nie uczestniczyła w żadnych uroczystościach ani w spotkaniach z podwładnymi.

Jednak pewnego dnia coś skłoniło ją do wyjścia z komnat, by powitać męznego rycerza o imieniu Wojciech, który przybył do zamku z drugiego krańca kraju. Coś wołało do niej: „Idź tam! Idź tam!”. W jednej chwili pomyślała, że zwariowała, ale zrozumiała, iż to głos serca. Tylko ono może tak głośno krzyżeć. Ubrała się w elegancką suknię i wyszła. Rycerz widząc przepiękną, złotowłosą kobietę, popatrzył jej prosto w oczy. Panienska po raz pierwszy od niepamiętnych czasów uśmiechnęła się wesoło, rozumiała, że chyba nadszedł czas na uczucie. Zauroczył ją niezwykle przystojny brunet w rycerskiej zbroi.

Ojciec zaplanował przyjęcie powitalne. Stoły przykryto białymi obrusami i suto zastawiono, orkiestra zagrała walca i młodzieniec poprosił księżniczkę do tańca. Zapowiadało to początek prawdziwej i szczerzej miłości, Dziewczyna rozkwitła niczym kwiat czerwonej róży. Czująca, że poznała właściwego człowieka, z którym gotowa jest spędzić resztę życia. Nad ranem muzyka przestała grać, a oni nadal tańczyli, nie zważając na nic i na nikogo. Dla niego przecież liczyła się tylko ona, a dla niej on. Nie widzieli świata poza sobą. Od tamtego pamiętnego dnia rycerz często przebywał na zamku. Uczucie rozwijało się, a Celestyna sądziła, że razem z Wojciechem mogą założyć zgodną rodzinę. Cieszyła się, że wreszcie znalazł się ktoś, kto pomoże zapomnieć jej o smutku i śmierci matki.

W jedno z najważniejszych świąt w królestwie ojciec wyprawił zaręczyny. Zaprosił gości całej okolicy. Przyjechał nawet pewien kronikarz, którego imienia do dziś nie znamy. Wojciech przybył w całym rynsztunku. Przywiózł pierścionek prababci, który był w rodzinie od dawna i przechodził z pokolenia na pokolenie. Rycerz zakładając go na rękę swej wybranki, przyrzekł jej, że zostanie przy niej na zawsze i będzie kochał ją przez całe życie. Los jednak chciał inaczej. Po kilku miesiącach rozpętała się wojna. Rycerz musiał opuścić ukochaną, aby bronić ojczyzny. Celestyna przeczuwała, że zdarzy się coś złego i prosiła, by został przy niej, ale na próżno.



Przez kilka lat nie dawał znaku życia, ale ona czekała na niego. Pewnego dnia przybył posłaniec z pożegnalnym listem. Wybranek Celestyny napisał go przed śmiercią i kazał go zawieźć do zamku. Dziewczyna przeczytała pismo i nie mogła uwierzyć, że to wszystko prawda i czemu to ją właśnie spotyka. Poszła nad fosę, by się wypłakać i w samotności rozpaczć nad swoim nieszczęściem ukochany odszedł na zawsze. Cóż więcej jej pozostało? Łzy spływały po białych policzkach, najpierw sączyły się kroplami, aż w końcu z pięknych, niebieskich oczu połały się strumienie. Trwało to nadzwyczaj długo. Działo się to dopóty, dopóty koryto rzeki nie wypełniło się wodą.

Do dziś na jej brzegu rosną niebieskie kwiatki, a nazywają je niezapominajkami. Nie pozwalają one zapomnieć o legendarnej księżniczce i miłości do Wojciecha. Życie dziewczyny było pełne trudności, przeszkód, nieszczęść, więc woda w korycie nie płynie prosto, a tworzy zakręty i zakola. Mówiąc potocznie „wierci się” i stąd prawdopodobnie wzięła się jej nazwa.

Monika Ciastek, Gimnazjum w Przyrowie



Justyna Młynczak 15 lat, Gimnazjum w Przyrowie

## Legenda o księżniczce Katarzynie



**D**awno, dawno temu na terenie dzisiejszych Zarębic mieściła się niewielka wieś, o której wiedzieli tylko mieszkańcy sąsiednich miasteczek, ponieważ nie była ona zaznaczona nawet na najdokładniejszych mapach. Wszystko jednak się zmieniło, gdy jej teren wykupił pewien książę. Miał on tylko córkę i dwóch synów, gdyż żona zmarła na nieuleczalną wtedy chorobę.

Jego celem stało się rozbudowanie swoich posiadłości, by później przekazać je dzieciom. Był jednak pewien kłopot, jak podzielić ziemię między dwóch synów i córkę?

Z Bolesławem i Stanisławem nie miał problemu, ale córka musiała mieć męża, aby przejąć swoją część. Jednak młoda księżniczka nie miała zamiaru wyjść za mąż. Całe dni spędzała w towarzystwie zwykłych ludzi i biedaków, wśród których poznała bardzo przystojnego i miłego młodzieńca. Lubiła jego towarzystwo, bo przecież od dzieciństwa pragnęła być zwyczajną kobietą, traktowaną tak jak wszystkie inne. Jednak wola ojca była ważniejsza i wybór męża musiał się odbyć. A Katarzyna i tak w każdej wolnej chwili biegła do nowego przyjaciela, który nazywał się Zaręba. Opowiedziała mu o okrutnym rozkazie, jaki wydał ojciec. Księżniczka coraz bardziej bała się zamążpójścia, gdyż zakochała się w biedaku i pragnęła, aby to on był jej mężem. Nadszedł ten dzień. Katarzyna wybrzydzała, w każdym mężczyźnie potrafiła znaleźć wadę, ojciec przytakiwał. Ostatni jednak bardzo spodobał się księciu, ale nie księżniczce. Był to Juliusz. Udawał dobrego, kochanego, miłego, lecz gdy zostawali sami, stawał się potworem.

Pewnego dnia Katarzyna ze strachu przed Juliuszem uciekła do Zaręby, aby się wypłakać. Nie zauważyła, że była śledzona przez swojego przyszłego męża, który zorientował się, że ona kocha innego. Kiedy powracała do zamku, Juliusz złapał ją i zamknął w pobliskiej chacie. Szantażował, że jeśli go nie wybierze i nie poślubi, to ją zabije. Na szczęście w pobliżu był Zaręba. Słyszając krzyki, pobiegł do ukochanej na ratunek. Udało mu się ocalić Katarzynę, ale siebie nie. Rozzłoszczony książę zamknął go w tej chacie i podpalił ją. Uciekająca do domu księżniczka ujrzała tylko wysoko unoszące się płomienie i słyszała krzyki konającego już ukochanego. Nie wiedziała sensu dalszego życia. - życia z Juliuszem. Skoczyła w przepaść z okna swojej komnaty, zostawiając pożegnalny list: „Wybrany dla mnie mąż chciał mnie zabić. Uratował mnie jednak, oddając swoje życie pewien biedak Zaręba, mój ukochany. Katarzyna”

Książę długo żałował, że nie pozwolił żyć córce tak, jak chciała. W końcu to było jego ukochane dziecko. Często bywa tak, że gdy się chce dla niego jak najlepiej, zazwyczaj kończy się to właśnie śmiercią. Wkrótce ziemie zostały podzielone. Najmniejszą część, czyli terazniejszy Stajslawów dostał syn Stanisław, a Bolesław - Bolesławów, a nieżyjącej Katarzynie przypadł największy teren nazwany Zarębicami na cześć jej ukochanego. Po podziale majątku książę zmarł, a Zarębice nie miały już innego władcy. Zamek po latach zawalił się, na jego miejscu stoją teraz domy gospodarzy. Może nocami straszy w nich zakochana Katarzyna.

Agnieszka Deska,  
Gimnazjum w Przyrowie



Kamil Kowalski 15 lat, Gimnazjum w Przyrowie

## Srebrne dzwony



**P**o pożarze, który zniszczył całe stare Żarki, ocalał wśród zgliszczy kościółek św. Stanisława. W owym czasie były tam trzy, jak legenda głosi, srebrne dzwony. Największy nazwany był Stanisławem, drugi, co do wielkości to Wojciech, najmniejszemu nadano imię Maryja.

Działo się to w czasie najazdu szwedzkiego. Szwedzi dowiedzieli się o dzwonach i chcieli je wykraść. W jakiś sposób wieść o ich zamiarach dotarła do mieszkańców Żarek, postanowili je ukryć. Los dzwonów zawierzono w ręce czworga mieszkańców. A oni uradzili, aby wywieźć je do lasu i zatopić w jeziorze. Ślady tego jeziora widnieją do dziś w postaci niewielkiego stawu w ładach między Jawornikiem a Helenówką. Gdy nastąpiła noc i wszyscy mieszkańcy Żarek usnęli, czterech spiskowców podciągnęło wóz pod wieżę. Przed rozpoczęciem pracy najstarszy z nich przykląkł przy dzwonach, ucałował je, a potem kazał złożyć pozostałym szybko wymyśloną przez siebie przysięgę, że nie zdradzą tajemnicy. Po uroczystym przyrzeczeniu z trudem załadowano dzwony na wóz. Mężczyźni własnoręcznie zaciągnęli powóz za miasto i dopiero tam zaprzęgli woły, by nie zbudzić mieszkańców. Po godzinnej przejażdżce zatrzymano się nad jeziorem. Pośród ciszy zmaconej łkaniem czterech „grabarzy” dzwonów, wrzucono do wody „Stanisława”. Zabulgotała woda, wyprysły z tafli jeziora fontanny kropeł, ochlapując zrozpaczonych mężczyzn. Po lesie rozszedł się szept: „Ile minut w godzinie, a godzin w wieczności”. Po chwili „Wojciech” spoczywał już na dnie jeziora. A gdy przyszła kolej na „Maryję”, księżyc wychylił się zza chmur oświetlając twarze strudzonych chłopów. Powtórzyli oni przysięgę, ucałowali dzwon i zepchnęli go do zmaconej wody jeziora. Zaledwie skończyli robotę, jak doszedł do ich uszu tupot szwedzkich koni. Mężczyźni rzucili się do ucieczki, lecz wtem rozległo się bicie dzwonów. Odgłosy te były tak głośne, że sięgnęły Szwedów. Stali zdumieni, a gdy woda w jeziorze zaczęła bulgotać, a bicie dzwonów stawało się coraz głośniejsze, w panicznym strachu nawrócili swoje konie i uciekli, skąd przyjechali. Od tego czasu dzwony kościółka św. Stanisława leżą na dnie jeziora.

Patrycja Orszulak lat 14,  
Gimnazjum im. Jana Pawła II w Żarkach



Przemysław Maligłowska 11 lat, SP Żarki

## Osada Jarosza



**W** długie zimowe wieczory przy ciepłym piecu starsi mieszkańcy mojej wsi lubili opowiadać różne historie. Zawsze chętnie słuchałam tych opowieści. Nasza sąsiadka oglądając znaleziony przeze mnie amonit w kształcie muszli ślimaka, przypomniała historię nazwy naszej wsi.

Moja wieś leży w dolinie, otaczają ją pola uprawne, wśród których występują ostańce skalne. Każdy z nich ma swoją nazwę i legendę.

Ostaniec Turkawka góruje nad laskiem skrywającym tajemnice...

U podnóża tej skały, w szczelinie znajduje się studnia, która była źródłem wody dla pierwszych mieszkańców doliny. Z opowieści i dawnych przekazów wiem, że już w XIV wieku istniała tu duża osada leżąca przy trakcie zamkowym łączącym Olsztyn z Mirowem. Przy drodze między dzisiejszymi Suliszowicami a Jaroszowem istniała karczma, w której zatrzymywali się podróżujący tym szlakiem. Pewnego dnia do osady przybyli kupcy i zapytali właściciela karczmy o nazwę miejscowości położonej wokół jego gospody. Ale karczmarz nie zrozumiał pytania przybyszy i myśląc, że pytają o jego imię odpowiedział: „Jarosz”. I tak nazwa zaczęła funkcjonować, najpierw wśród podróżnych, a potem rozpowszechniła się także pośród mieszkańców. Niestety, pewna grupa kupców przywlekła ze sobą zarazę, która zdziesiątkowała mieszkańców Jaroszowa i doprowadziła do tego, że musieli spalić swoje domy, wznoszące się wokół ostańca i przenieść się do doliny.

Od tamtej pory duch Jarosza przy pełni księżyca krąży między Turkawką a naszymi stodołami w wiecznej wędrówce, w poszukiwaniu własnego domu. Na nowym miejscu jaroszowianie pobudowali domy z miejscowego kamienia, co chroni je przed pożarem, a piękne amonity wmurowane w ściany gwarantują mieszkańcom spokój i bezpieczeństwo.

Duch Jarosza, założyciela naszej wsi, być może znajdzie spokój, bo na obrzeżach wsi chcemy zbudować przyjazny krąg i plac zabaw dla dzieci o nazwie „Osada Jarosza”. I w ten sposób, tworząc nowy wizerunek wsi połączymy legendę z przyszłością.

Anita Kuban lat 14,  
Gimnazjum im. Jana Pawła II w Żarkach



Karolina Sosnowska 13 lat, SP Żarki

## Demon w Leśniowie



**D**awno, dawno temu w Żarkach mieszkali dwaj budowniczkowie, którzy codziennie spotykali się w tym samym miejscu w Leśniowie. Jeden z nich mieszkał w dzisiejszych Żarkach, a drugi w dzisiejszych Przewodyszowicach. Dni upływały jak zawsze, czyli spokojnie, a śpiew ptaków umiłał im prace przy budowie kościółka, który stoi dziś koło Sanktuarium Matki Boskiej Leśniowskiej. Obecnie kościółek ten jest ruiną.

Pewnego ranka spotkali się właśnie koło budowanego przez nich obiektu, gdy nagle zdziwił ich potężny huk i drżenie gruntu pod stopami. Poszli w jego stronę. Na miejscu, niedaleko kościółka zauważyli Demona walczącego z Aniołem. Anioł na białym koniu bronił ich budowlę przed szatanem dosiadającym czarnego rumaka. Spojrzawszy na to, nasi budowniczkowie bardzo się wystraszyli, lecz zachowali zimną krew i nie uciekli. Myśleli, że Aniołowi nie uda się wygrać z podstępny szatanem, lecz w pewnym momencie stało się coś nieoczekiwanego, wszystko znikło. Murarze domyślili się, że Anioł wygrał walkę z diabłem, a tym samym ocalił kościółek, który był budowany. Wszystko powróciło do normy, więc poszli na plac budowy. Wracając do domów, budowniczkowie opowiadali o tym zdarzeniu mieszkańcom okolicznych wiosek, których spotkali, lecz ci słuchali tej opowieści z niedowierzaniem. Mieli wiele wątpliwości, czy Aniołowi chciałoby się walczyć o ocalenie maleńkiego kościółka. Budowniczkowie doczekali bardzo późnej starości, mieli liczne rodziny i żyli w dostatku.

I tak oto zakończyła się piękna legenda, w której dobro zwyciężyło ze złem, w której Bóg pomógł ratować to, co miało powstać na cześć jego imienia i zesłał potem wiele łask na okoliczne wsie, a szczególnie na dwóch budowniczych. Kościółek przetrwał do dziś, choć jest już bardzo zniszczony.

Monika Kowacka lat 13,  
Gimnazjum im. Jana Pawła II w Żarkach





Agata Królik 12 lat, SP Żarki

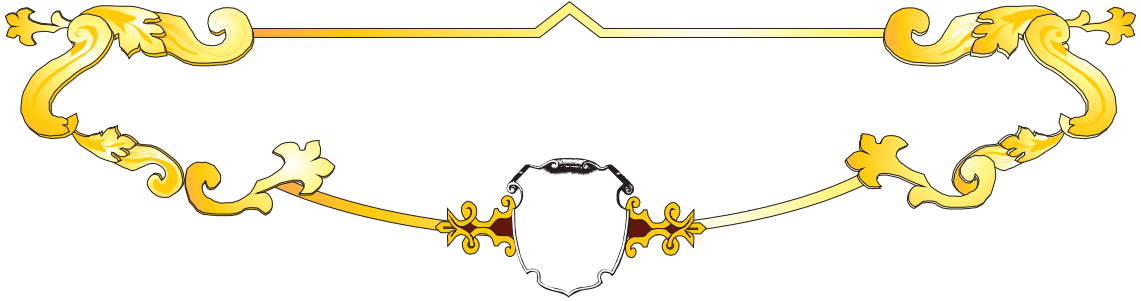






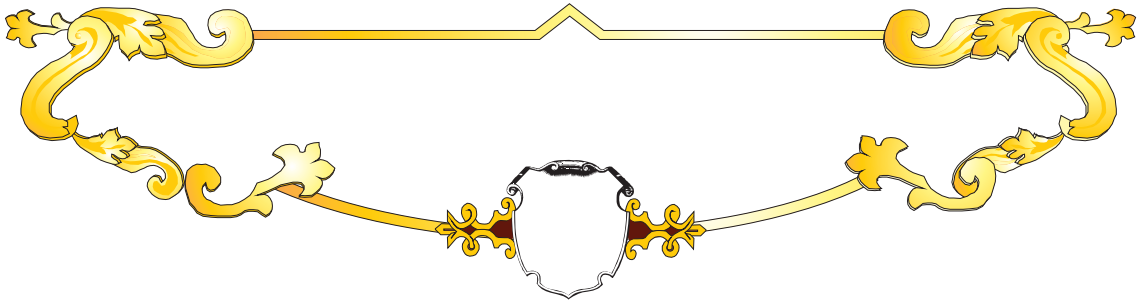
Zapraszamy do wspólnej zabawy. W tej książeczce zostawiliśmy miejsce na Waszą ulubioną bajkę lub legendę. Najlepszą będzie ta, którą wymyśliliście sami lub usłyszeliście od najbliższych i znajomych. Na początku proponujemy napisać swoją bajkę lub legendę na brudno a następnie przepisać starannie do książeczki. Po zakończeniu twórczości pisarskiej zapraszamy do zilustrowania opisaney historii. Życzymy wspaniałych pomysłów.

Autorzy

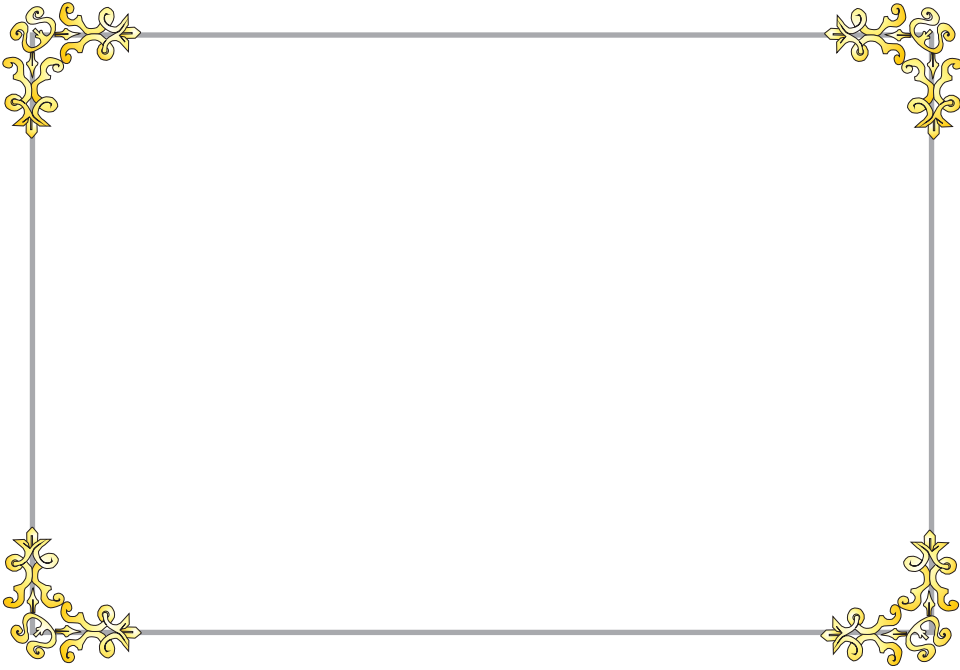


A series of horizontal lines for writing, consisting of 13 evenly spaced lines across the middle of the page.





A series of 12 horizontal lines for writing, evenly spaced across the page.



## Nazwy miejscowości regionu w historii języka

**Bobolice** - nazwa pochodzi od imienia (nazwy osobowej) Bobola.

**Janów** - nazwa pochodzi od założyciela miasta Janowa - Jana Aleksandra Koniecpolskiego.

**Koziegłowy** - 1. nazwa pochodzi od przezwiska Koziągłowa, która została użyta w l.mn. i dała początek nazwie miejscowości. Pierwotnie było to podgrodzie, które zamieszkiwała rodzina Koziegłowy. 2. "głowa" ma znaczenie przenośne: "wzniesienie, źródło". Koziegłowy - gród strzegący bezpieczeństwa szlaku handlowego z Lelowa do Opola, który mieścił się na sztucznym wzniesieniu.

**Lelów** - nazwa pochodzi od imienia (nazwy osobowej) Lel - skrót od imienia Lelistryj.

**Lgota** - dawniej słowo "lgota" oznaczało uwolnienie założonej osady od danin na czas określony. Prawdopodobnie etymologia nazwy tej miejscowości ma związek z wyżej wymienioną informacją.

**Mirów** - nazwa pochodzi od imienia (nazwy osobowej) Mir.

**Mstów** - nazwa pochodzi od imienia (nazwy osobowej) Mścisław, rdzeń - mśc - przeszedł w -mst -.

**Niegowa** - u Długosza to "wieś będąca własnością Niega", nazwa pochodzi od imienia Nieg, Niegosław.

**Olsztyn** - pochodzenie tej nazwy wskazuje na źródło niemieckie. Wyraz "Holstein" oznacza wydrążoną skałę, na której stanął zamek.

**Poraj** - etymologia tej nazwy ma związek z leśnymi i bagiennymi okolicami, jedną z roślin bagiennych jest poraj.

**Sokolniki** - we wczesnym średniowieczu czasami nazywano wsie, osady zgodnie z charakterem powinności dla dworu książęcego, względnie w czasach nowszych ze względu na zawód, rzemiosło. Sokolnikami byli ludzie, którzy opiekowali się gniazdami sokolimi oraz przysposabiali sokoły do polowania.

**Tomaszowice** - nazwa pochodzi od imienia Tomasz. W okresie średniowiecza nazwy zakończone współcześnie na - ica wskazywały na potomków lub poddanych człowieka, którego imię, przezwisko, zawód, godność tkwiły w danej nazwie.

**Zalesice** - nazwa ma związek z położeniem, osada Zalesicie była to osada "za lasem".

**Zarębice** - etymologia wiąże się z przezwiskiem Zaręba, prawdopodobnie rodzina Zaręby zapoczątkowała istnienie osady.

**Zawada** - zawada, czyli przeszkoda; etymologia nazwy związana z naturalnymi przeszkodami, ukształtowaniem terenu.

**Żarki** - nazwa oznaczała miejsce "wyżarzone", czyli wypalone w lesie, gdzie założono osadę.

Literatura:

1. Bańkowski A., Etymologiczny słownik języka polskiego, T. 2, Warszawa 2000.
2. Rosponda S., Słownik etymologiczny miast i gmin PRL-u, Wrocław 1984.
3. Rymut K., Nazwy miast Polski, Wrocław 1980.